

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży

Adres Redakcji Warszawa, ul. Trębacka 11. tel. 240-15.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie: rocz. rb. 4, półrocz. rb. 2, kw. rb. 1. mies. 35 k z dodat. rocz. 6.40, półrocz. 3.20, kw. 1.60 mies. 60k. Za odnie dopłaca się 10 kop. kwartalnie. Z przesyłką pocztową w granicach państwa: rocz. rb. 5, półrocz. rb. 2 k. 50, kwart. rb. 1 kop. 25. mies. 45 k.

Z dodat. rocz. 7.40, półrocz. 3.70, kwart. 1.80.

Za granicą: w Austrii 14 kor., z dodat. 21 kor. rocz. W Niemczech 12 m. z dodat. 19 m. rocz.

WARUNKI OGŁOSZEŃ:

2 i 3 strona
w tekście nadesłane

wiersz 1 szp. k. 20
" " " 50

Prenumeratę najlepiej nadsyłać pocztą wprost do Administracji Krakowskiej-Przedmieście 64 w Warszawie księgarnia „Polaka - Katolika”.

Można jeszcze opłacać „Wieczory Rodzinne” za kwartał I i II.

TREŚĆ NUMERU:

Jak przepędzić wakacje? przez M. W. R. — Piesń o wakacjach, przez Władysława Belzę. — Ś. p. Aleksander Bandrowski. — Łączna, przez L. V. J. (z 1 ilustr.) — Djament. — Nigdy, przez Z. Morawską. — Nad złotym rogiem, przez Stanisława Belzę. — Tajemniczy samolot, przez Kap. Brereton. — Amerykanka. — Gniazda sierocy, (z 4 ilustr.) — Przebojem, przez Józefa Ciembroniewicza. — Skrzynka do listów. — DODATEK DLA DZIECI: Biedne dzieci, (z 1 ilustr.) — Sen Jasia, przez Jutrzenkę. — Przygody Tadzika w noc Świętojańską, przez M. P. — Łakoma Mania, przez Gosińską.



POLAK KSIĘCIEM ALBANJI?

Wobec potrzeby obsadzenia nowopowstałego tronu w niezależnym państwie Albańskim różne państwa europejskie zaproponowały swoich kandydatów, którzyby, ich zdaniem, najbardziej byli odpowiedni na to stanowisko.

Kilka gazet wiedeńskich zwróciło uwagę na to, iż księciem Albanji powinien być katolik i wskazało na kandydata... polaka.

Zdaniem pism tych polskie rodziny książęce takie jak Radziwiłłowie lub Czartoryscy godne są korony, zwłaszcza ci ostatni, którzy kilkakrotnie są spokrewnieni z rodzinami panującymi.

Jest to bardzo dla nas pochlebna propozycja, uważać ją jednak musimy za akt grzeczności jedynie dla kuzyna cesarskiego, gdyż ks. Czartoryski ożenił się niedawno z wnuczką cesarza Franciszka Józefa.

ZMIANA SZTANDARU.

Jest obyczajem w Ameryce, że gdy do Stanów Zjednoczonych przyłącza się nowy kraj, przybywa nowa gwiazdka na sztandarze narodowym. W r. z. Arizona i N. Meksyk powiększyły liczbę gwiazd do 48, więc trzeba było розміścić je inaczej. Według planu amerykańskiego historyka Whippla, sztandar, złożony z 13 pasków białej i czerwonej barwy, ma na środku gwiazdę sześciokątną z 13 odnogami, które mają oznaczać najstarsze Stany; dokoła idzie

25 gwiazd, jako symbol rozszerzania się posiadłości przez ciąg stulecia, a pozostałe 10 ułożono tak, aby starczyło miejsca na inne plejady.

OBAWA REWOLUCJI.

Rząd francuski otrzymał niepokojące wiadomości o szerzącym się buncie krajowców w Indochinach. W ostatnich dniach wykryto olbrzymie sprzysiężenie przeciwko francuzom; na ślad spisku wprowadziły dokonywane coraz częściej napady zbrojne indusów na patrole i posterunki wojskowe. Władze spodziewają się lada chwila wybuchu ogólnego powstania. W wielu miastach zarządzony został stan oblężenia; aresztowano kilkaset osób podejrzanych.

Z LOTNICTWA.

Śmiały, znany już dobrze żeglarz francuski Perreyon, dokonał niebywałego dotąd pod względem wysokości wzlotu. Jako naczelnny pilot słynnej firmy „Bleriot”, wzniósł się (na aparacie tego systemu) w powietrze, zabrawszy z sobą panią de Flagnis, o g. 11-ej przed południem. Podróż trwała przeszło godzinę, w nadzwyczajnie szybkim tempie; gdy samolot krążył już o 4,000 metrów po nad ziemią, pasażerka z braku dostatecznej dla płuc ilości powietrza, musiała wdychać tlen, ale ponieważ p. Perreyon zależało więcej na sławie jak na życiu, więc wzniósł się jeszcze o 1,500 m. wyżej. Wylądowanie

zabrało tylko, wraz z lotem w dół, 13 minut czasu. Monoplan, którym się posługiwano, jest typu wojkowego, i posiada motor „Gnom“ o sile 160 koni. Dotychczas najwyższy lot z pasażerem odbył, na wysokość 4,360 metrów, porucznik Blaschke w Azpern pod Wiedniem. Rekord lotniczy, wszechświatowy, osiągnął zatem francuz; zwycięstwo przy nim pozostanie aż... do nowych tryumfalnych popisów zapewne.

PRACA SPOŁECZNA.

W ostatnim numerze czasopisma „Ziemia“ znaleźliśmy bardzo ciekawy i ku zbudowaniu mądrych służący opis wsi Liskowa (gub. Kaliska), więc czytelnikom naszym najważniejsze szczegóły z niego podajemy. Przed blisko 15 laty wieś ta zaniedbana, uboga, ciemnotą od świata odgradzona, była podobno gniazdem złodziei i próżniaków. W owym czasie objął małą parafję młody kapłan ks. Bliźniński. Odczuwając z gorącą wrażliwością nędzę ludzką, pełen zapału i pragnienia czynu, postanowił on pracować wytrwale nad odrodzeniem dusz, powierzonych jego pieczy. Wyniki tej służby pasterskiej i obywatelskiej są nadzwyczajne. Po długich z czcigodnym księdzem rozmowach, parafjanie Liskowa zrozumieli potrzebę oświaty i tworzenia stowarzyszeń ekonomicznych. W ciągu lat 10-ciu powstały, z owoców wspólnej pracy. Dom ludowy, szkoła, czytelnia, siedm ochron, do których uczęszcza z wiosek okolicznych 535 dzieci; warsztaty rzemieślnicze, kółka gospodarkie, kasa oszczędności, kąpiele ludowe, szpital, spółka budowlana, koło rolnicze i t. d. Synowie i córki gospodarzy kształcą się, po ukończeniu szkół, w Pszczelinie, Mirosławicach. Kruszyńku, aby wprowadzać do rodzinnego gniazda wszystkie ulepszenia, z jakich miejscowa ludność, nie przestawszy pracować na roli, korzysta teraz u siebie.

.....

Łuk i strzała.

Ludzie nie czekali wcale na wynalazek prochu, dynamitu, melinitu, ekrazytu i t. p. środków, aby zabijać się wzajemnie podczas wojen. Już człowiek z epoki kamiennej zabijał bliźniego za pomocą toporka krzemiennego, a w ciągu następnych wieków wysilał swój mózg nad doskonaleniem śmiertelnych narzędzi.

Zastanowiwszy się bliżej nad tą sprawą, dochodzimy do przekonania, że w ubiegłych wiekach nie tylko broń sieczna w walce z bliska powodowała olbrzymie procentowe straty u stron walczących, ale także broń działająca na odległość nie była i nie jest tak niewinną, jakby na pozór mogło się wydawać.

I tak, np. sągaja, t. j. dzida taka sama zupełnie jak pilum piechoty rzymskiej rzucona przez dzikiego za pomocą cienkiego rzemienia okręconego koło jej osi jeszcze na odległość 150 metrów może zabić człowieka. Proca, aczkolwiek rzut celny z niej jest bardzo trudny, może pozbawić życia trafionego na tę samą, albo nawet większą odległość.

Albo broń ta jest niczem w porównaniu z łukiem, który długi czas konkurował z prochem, po jego zastosowaniu do broni palnej. Łuk porzucono w wojnach europejskich ostatecznie dopiero przy końcu XVI wieku. Spotykamy go jeszcze w bitwie pod Perth, w 1644 r. podczas wojny domowej angielskiej i w r. 1655 w Szkocji podczas walki między dwoma wrogimi „klanami“.

W rzeczywistości dobry, duży łuk z drzewa

cisowego był akuratnie tyle wart, co karabin skalkowy używany sto lat temu. Wystarczy powiedzieć, że łucznik był w stanie wyrzucić sześć strzał za ten czas, gdy najwprawniejszy żołnierz mógł jeden raz nabić i wystrzelić swój karabin skalkowy. Przytem zaś łucznik trafiał daleko celniej z łuku na odległość 100 do 130 metrów, niż żołnierz ze swego karabinu, który niósł o wiele dalej. Bywali nawet łucznicy, których strzały trafiały w cel na odległość 180 metrów, czyli około 200 kroków.

Z łuków z kolbą i hakiem do naciągania ciężkiej, arbaletów używanych na wschodzie — krzyżowcy przewieźli je do Europy — strzelano nawet na odległość 200 do 250 metrów. Oczywiście, że taka odległość strzału nie była bardzo szkodliwą, ale na odległość 60 do 70 m. przebijały najlepszy pancerz. Łucznicy angielscy byli najznakomitszymi strzelcami na całym świecie i oni rozstrzygnęli na korzyść oręża angielskiego dwie wielkie bitwy u schyłku średniowiecza pod Azincourt i Crécy.

Trzeba i to także brać w rachubę, że strzały wypuszczone wprawną ręką łuczника zadawały wprost okropne, trudno gojące się rany, co podnosiło ogromnie moralną wartość tej broni. To też np. w Anglii najpóźniej rozpowszechniło się używanie palnej broni ręcznej.

Chmura wypuszczonych odrazu kilku tysięcy strzał, czyniła przejmujące wrażenie, o czem wspominają nieraz polscy pisarze, opisując walki z Tatarami. Skutek takiej masy strzał wobec ścieśnionego szyku piechoty, używanego w starożytności i średnich wiekach, musiał być straszny. Już sam świst, jaki wydawały one, przeszywając powietrze, porównywano do poświstu gwałtownej wichury. Grot strzały, który utkwiał w ciele konia, sprawiał taki ból zwierzęciu, że sprowadzał na nie atak formalnego szalu, przyczem najczęściej zrzucało ze siebie jeźdźca.

Dlatego też nie można twierdzić, aby dopiero broń palna uczyniła wojny morderczymi. Bo chociaż ludzie przed wiekami nie posiadali dalekonośnej broni palnej, to walcząc zupełnie z bliska, zabijali się dokładniej. Przegrana kończyła się zazwyczaj zupełnem zniesieniem pobitej armii, której zwycięzcy nie dawali pardonu. W bitwie np. pod Kannami, pobici przez Hannibala Rzymianie stracili ze swej 86,000 armii bezmała 70,000 ludzi.

Takich strat wojny nowożytne nie znają!

.....

KOŚCIOŁ W SAMOCHODZIE.

W Ameryce samochód znalazł sobie zastosowanie, o jakim gdzieindziej nikomu się nie śniło.

W zachodnich Stanach Ameryki północnej, gdzie rzadka ludność osadnicza żyje rozrzucona po olbrzymich przestrzeniach, zapewnienie jej postępu religijnych było dotąd trudnem, a raczej niemożliwem zadaniem. Obecnie rozstrzygnął je samochód.

Mianowicie związek katolicki urządził wielkie samochody-kaplice. Samochód taki długi 21 stóp, a szeroki 13 stóp, zaopatrzony jest we wszystko, czego potrzeba do odprawiania nabożeństw. Posiada ołtarz, organy, konfesjoję, oraz namiot, mogący pomieścić trzysta osób. W przednim przedziale samochodu są siedzenia dla księdza i kościelnego, które mogą być użyte również jako łóżka.

Pierwszy taki samochód-kaplica pod nazwą „Kaplica św. Piotra“, okazał się tak pożyteczny, że stowarzyszenie przygotowuje już większą liczbę takich ruchomych kaplic. Pójdzie na to dużo pieniędzy, gdyż samochód-kaplica kosztuje z całkowitem urządzeniem około 35 tysięcy rubli.

Wieczory Rodzinne

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

Jak przepędzić wakacje?

Być może, iż niejeden z czytelników „Wieczorów Rodzinnych” zdziwi się przeczytawszy powyższy nagłówek. Jakże bowiem przepędzać wakacje inaczej, jak bawiąc się i korzystając z miłej swobody po trudach nauki.

Zapewne, wakacje letnie mają na celu odpoczynek i wzmocnienie organizmu dla ułatwienia późniejszej pracy, trudno jednak przypuścić by kto z myślącej młodzieży chciał i umiał przez parę miesięcy bawić się tylko i próżnować. Nuda niczem niezapełnionego czasu bardzo prędko dałaby mu się we znaki.

Należy zatem pracować i w czasie letniego wypoczynku, ale nie wysiłkowo i w taki sposób, by zajęcie to stanowiło pewnego rodzaju rozrywkę.

Nieszczęśnicy, których po wakacjach oczekują egzaminy powtórne, muszą z konieczności pracować nad przedmiotem nauki, zaniedbanym nieco w zimie; musimy żałować ich, a zarazem iść w ich ślady.

Jakto? — zapytacie czytelnicy — mamyż uczyć się i latem?

Tak, — brzmi odpowiedź. — Nie powinna to być nauka męcząca zajmująca po kilka godzin dziennie, nie, wystarczy kilkadziesiąt minut o pewnej, stale wyznaczonej porze, które dobrze jest poświęcić poważnej pracy umysłowej.

Mózg ludzki bowiem wymaga ciągłego ćwiczenia i, zaniedbując je, usypiamy umysł, co nam ogromnie utru-

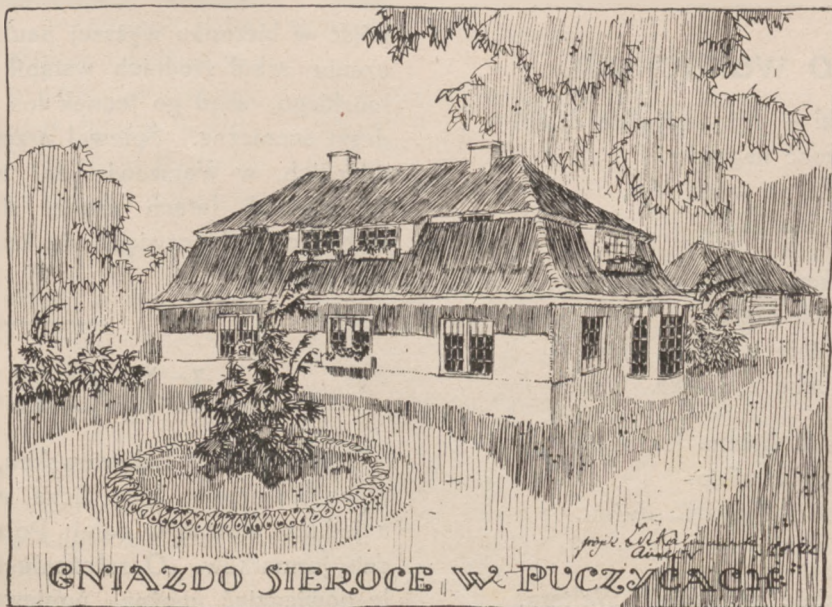
dnia następnie powrót do wysiłkowej pracy szkolnej. Poza tem zresztą każdy prawie z was specjalnie lubi jakiś przedmiot: historję, matematykę, przyrodę i t. p. którymi może swobodnie zająć się w czasie wakacji, rozszerzając bez wysiłku swą wiedzę.

Bardzo natomiast niepożądanem jest zaczytywanie się powieściami. Prawda, że powieści ogromnie uprzyjemniają nam czas, lecz nie można ich nadużywać, tak samo jak nie można bez szkody spożyć zbyt dużo słodczy. Umysł niczem się tak nie męczy jak wrażeniami, których moc dostarczają zajmujące powieści, gdyż podniecona ciekawość wyczerpuje go wprędce.

A zatem jaknajmniej czytać powieści, a za to jaknajwięcej obcować należy z przyrodą. Nigdzie potęgą i wszechmądrość Boga nie odsłania się przed człowiekiem tak wyraźnie jak w życiu przyrody. Kto umie patrzeć z upodobaniem na piękny widok, kto bada cu-

downy ład, istniejący w naturze, kto zając się potrafi rośliną lub stworzonkiem na ja-drobniejszem — ten poznaje tem samem Stwórcę wszechmocnego i wielbić Go za otoczenie jakie dał człowiekowi.

Lecz nie wystarczy patrzeć na przyrodę jako obojętny widz tylko, dobrze jest poznawać ją naukowo, a do tego służą zbiory najrozmaitsze: botaniczne, owadoznawcze, mineralogiczne



GNIAZDO SIEROCE W PUCZYŁACH

Dom gniazda sierocego.

i t. p. Są szkoły, w których całe prawie muzea przyrodnicze powstały ze zbiorów uczni, którzy, urządzając swoje kolekcje nie tylko, poza przyjemnością, korzystali sami, lecz przysługiwali się wszystkim swym towarzyszom, nie mogącym w inny sposób zapoznać się z przyrodą.

Zapoznanie się z przyrodą zmusza nas jednocześnie do uprawiania sportów. Jest to zajęcie, będące zarazem przyjemnością, a wpływające nadzwyczaj dodatnio na cały organizm.

Gry takie jak tenis lub piłka nożna, sport pieszy, wioślarstwo, rybołówstwo, konna jazda dla obu płci, a szermierka dla chłopców są ćwiczeniem miłym, byle nie forsować się przy nich zanadto. Niektórzy tenniści np. gotowi są grać po kilka godzin dziennie, gdy angielskie powagi sportowe orzekły już dawno, iż nie powinno się grać w tenisa dłużej nad jedną godzinę dziennie. Należy zatem używać w czasie wakacji wszelkich dostępnych w danym miejscu sportów, a jeżeli można, a raczej, o ile jest towarzystwo, urządzać najrozmaitsze gry towarzyskie na świeżem powietrzu.

Zabawa taka jest najprzyjemniejszym przeżyciem czasu; aby ułatwić czytelnikom „Wieczorów Rodzinnych” wybór zabaw, od następnego numeru począwszy, będziemy podawali po jednej lub po parę gier ruchomych, dostępnych dla młodzieży i dzieci.

Trochę pracy zatem w czasie wakacji letnich, zapoznanie się z przyrodą i umiarkowane użycie sportu, oto najważniejsze wskazówki na letnie mieszkanie, pozostaje do zrobienia jeszcze jedna uwaga.

Ci z naszych czytelników, którzy jadą na letnie mieszkanie na wsi, powinni pamiętać, że dzieci wiejskie patrzą na nich bardzo uważnie i chętnie naśladują, należy więc świecić im zawsze przykładem pobożności i cnót, tak aby mogły się wzorować na przybyłych z miasta. Jeżeli zaś kto z czytelników będzie zagranicą, między Niemcami zwłaszcza, niech pamięta zawsze o godności swego narodu i postępowaniem swem wzbudza uznanie dla młodzieży polskiej.

M. W. R.

Pieśń o wakacjach.

Wiwat wakacje! — Już wszystkie dzieci
Wzięły za pilność nagrodę;
I nie tak szybko ptaszyna leci,
Jak one na tę swobodę.

Po rocznej pracy, pilnej nauce,
Ileż rozkoszy ich czeka:
Marzą się we śnie siodłane kuce,
Wieś się uśmiecha z daleka.

Na ganku siostra śliczna jak róża,
Wita braciszka nieśmiało,
Bo chociaż ona już duża... duża...
Lecz i on urósł nie mało.

On już zna dzieje rzymskie z Weltera,
Na mapie wszystkie zna kraje,

Więc na braciszka z dumą spoziera,
Bo jej się mędrcom wydaje!

A on podnosi czoło płonące,
On chluba szkolnej młodzieży,
Wszak wszystkie stopnie ma celujące,
Więc mu się hołd ten należy!

O! dziatwo miła! o to uznanie
Dla pracy, trudu, rozumu:
Staraj się pilnie, walcz nieprzerwanie,
Niem się wyróżniaj od tłumu!

Bo dziś nie przodków litanja długa,
Ani majątek cześć budzi:
Dziś tylko praca, własna zasługa,
Nad zwykłych wzniosą cię ludzi.

Władysław Betza.

Ś. P. ALEKSANDER BANDROWSKI



Zmarł w tych dniach w Krakowie znakomity wykonawca ról bohaterów w wagnerowskich operach, oraz roli Manru w operze Paderewskiego pod tym tytułem. Aleksander Bandrowski początkowo zamierzał pójść w kierunku wyższej nauki i w tym celu po ukończeniu szkół średnich wstąpił do uniwersytetu Jagiellońskiego, skąd go jednak los i talent przeciągnął na deski sceniczne. Śpiewał przeważnie na scenach niemieckich, w Warszawie dał się słyszeć dwukrotnie. W ostatnich latach usunął się ze sceny, zamieszkał w Krakowie i poświęcił się kształceniu młodych adeptów sztuki.

ŁĘCZNA.

W powiecie Lubartowskim, ziemi Lubelskiej, nad rzeką Wieprzem, leży licha miejscina Łęczną zwana, a jednak sławna w całej Polsce z upadających już dziś jarmarków. O założeniu tego miasteczka nie wiele powiedzieć można, ponieważ przywilej pierwotny zatracono. Wiadomo tylko, że Stefan Batory już w ro-



Kościół w Łęcznej.

ku 1582 nadał miastu 2 jarmarki, a więc uważano wówczas, że punkt ten jest dogodny dla rozwoju szerszego handlu.

Właścicielami miasta byli Toczyńscy, Firlejowie, Noskowsy, Szeptyccy, a wreszcie od r. 1879 znany milioner Bloch.

Z przeszłości tej miejsciny pamiętnym jest fakt, że w r. 1693 zostało nawiedzone zarazą morową, która jednego tylko człowieka z całej ludności oszczędziła, a mieszkańcy Łęcznej dotąd obchodzą tę smutną pamiątkę 9 dniami postu przed Bożem Narodzeniem.

Ulice, z braku kamieni polnych w dalekiej okolicy, są niebrukowane, a drogi do miasteczka wiodące wprost nie do przebycia.

Samo miasto brudne i ubogie, przeważnie przez żydów zamieszkałe, nie posiadające dobrej wody do picia, ma tylko piękne okolice i jedyną ozdobę miasta — kościół w stylu barokowym, zbudowany w r. 1618 przez Adama Noskowskiego. W pięknej tej świątyni zwracają uwagę artystycznej roboty ołtarze z ślicznymi z brązu lichtarzami.

Łęcznej nie mógł nie znać obywatel ziemski w Polsce, wiedział o niej kmięć zagrodowy, znał do niej drogę rzemieślnik i kupiec, a dla żydów dwa razy do roku stawała się rajem. Z najdalszych zakątków kraju ciągnęli do Łęcznej na jarmarki trwające po dni 8 na Boże Ciało i dni 10 na św. Idziego, głównie przeznaczone na handel żywym inwentarzem i tem wszystkim co wiąże się z gospodarstwem rolnem. A za tymi przewodnikami ciągnął do Łęcznej cały szereg rzemieślników i kupców, by zaprezentować swoje towary zamożnym pa-

nom, zaopatrującym się hojnie w podarki jarmarczne dla rodziny i czeladzi domowej. A więc były tu wozy, bryczki, uprzęże, wyroby tkackie, kożuchy, odzież, obuwie, towary norymberskie, futra, zabawki dzieciinne, porcelana i wyroby garncarskie, szkło i świecidełka, z koralami na czele.

Największy rozrost tych jarmarków przypada między rokiem 1815 a 1878. Jeszcze około r. 1800 dostawiono tu na sprzedaż do 3,000 koni, 2,000 bydła, około 150,000 owiec 2,000 nierogacizny, a nadto, prócz koni zaprzęgowych, pędzono całe tabuny koni stepowych, półdzikich z Ukrainy i tych liczono do 2,000 sztuk. Tu też koncentrował się główny handel wełną, słonią i kożuchami. Daje to nam pojęcie jakie wówczas obroty handlowe kraj nasz prowadził.

Na kilkanaście dni przed takim jarmarkiem wszystkie stajnie, zajazdy, sklepy, izdebki i komórki, były już zajęte i grubo opłacane. Z Lublina zjeżdżały

pierwszorzędne restauracje i winiarnie, pojawiały się żydowskie kapele, cyganie, teatr, oraz cały zastęp sztukmistrzów, a i pewien procent złodziejasków.

Hucznie i buńczucznie żyła podczas jarmarku szlachta, spędzając czas na odnawianiu i zawieraniu nowych znajomości, oglądaniu, kupowaniu i sprzedaży. Bawiono się w karty, wyprawiano sute biesiady, szampan z węgrzynem lały się strumieniami, jak fortuny szlacheckie do kieszeni żydowskich. Mieszkańcy Łęcznej cały rok nic nie robili, bo jarmarki dawały im przyzwoite zyski i chleba pod dostatkiem, nawet na czarną godzinę jeszcze pozwalając coś do skrzynki schować.

Mieszczanin za wynajem stajni na kilkanaście koni brał od szlachcica półtora i dwa tysiące złotych za czas jarmarku.



Ogólny widok Łęcznej.

Obecnie jednak już jarmarki te zupełnie upadają, trwając zaledwie po dni 3 do 4. Liczba dostarczanych koni zmniejsza się, zjazdy mniejsze i mniej też huczne zabawy dowodzą biedy ziemiaństwa naszego, wreszcie złe drogi i dogodne linje komunikacyjne do innych punktów handlowych, kazały zapomnieć o Łęcznej, która coraz więcej idzie w zapomnienie i być zaczyna tylko wspomnieniem owej dawnej świetności.

Wygląd tego miasta długo jednak będzie jeszcze przypominał o jego sławnych jarmarkach, bo wycisnęły niezatarte piętno na tej miejscinie. Obszerne place targowe, znaczna liczba budynków gospodarczych, wielkie stajnie i obory, a wreszcie domy charakterystyczne, prawie bez okien budowane, bo posiadające przeważnie drzwi oszklone, by każda izba mogła być na sklep zamieniona, długo przypominać będzie podróżnym o niezwyklej charakterze tego miasteczka, stojącego na pierwszym miejscu w historii polskiego handlu i przemysłu.

L. V. J.

DJAMENT.

Dok.

Sztuka szlifowania polega na tem, aby, tracąc jak najmniej drogocennego materiału, wyzyskać naturalny kształt kamieni i nadać im maximum blasku. Po dokonaniem szlifowania djamenty przedstawiają się w dwóch głównych typach; jako brylanty, gdy kamienie są grubsze i rautów, gdy są płaskie. Brylanty mają na wierzchu płaszczyznę ośmioboczną i 32 płaszczyzn bocznych, tworzących t. zw. koronę. Część spodnia brylantu oszlifowana jest w 24 płaszczyzn trójkątnych, ciętych tak, aby odbijały wszystkie promienie światła ku przodowi. U rautów spód kamieni jest zupełnie płaski, wierzch składa się z płaszczyzn trójkątnych.

Czynność szlifowania wymaga oprócz gruntownej znajomości praw, optyki także wielkiej, wrodzonej zgrabności palców. Jak wiadomo, djament z powodu jego twardości szlifować można tylko djamentem. Naprzód obrabia się go z grubsza, potem obłupuje nożem części zbywające, następnie szlifuje się wskazaną ilość płaszczyzn, a wreszcie operuje się oszlifowany kamień na płycie stalowej pokrytej pyłem djamentowym, powstającym podczas szlifowania.

Nic tedy dziwnego, że ten rzadki kamień, którego obrobienie wymaga tylu delikatnych, lecz trudnych zabiegów, jest tak drogi, droższymi jednak od djamentów naturalnych są te, które zdołał otrzymać w sztucznej drodze profesor Moissan.



Poświęcenie sklepu spółkowego w Gursku. (Gniazda Sieroce).

Uczony ten francuski, wychodząc z założenia, że węgiel się rozpuszcza w pewnych roztopionych metalach, z których można go wydobyć w postaci krystalicznej, stopił pewną ilość żelaza w piecyku elektrycznym przy 3,200° gorąca i nasycił go czystym węglem, a następnie nagle oziębził. Ponieważ żelazo, podobnie jak woda, rozszerza się przy nagłym oziębieniu, przeto w środku powstaje olbrzymie ciśnienie, przy którym ten środek tężeje. Skutek tego ciśnienia był ten, że w oziębionym żelazie znalazł Moissan małe czarne kryształki, które rzeczywiście były djamentami. Największy z nich jednak mierzył zaledwie 0.4 mm. średnicy.

Doświadczenie to potwierdziło w zupełności hipotezę, wedle której djamenty sformowały się w skalach bardzo nasyconych żelazem, gdy przeszły ze stanu płynnego w stały pod wpływem oziębienia, wywołanego jakimś kataklizmem naturalnym. Ciśnienie to było tak silne, że zdołało spowodować wytworzenie się takich olbrzymich kamieni jak „Kohi-noor“ ważący 279 karatów (karat równa się 0.2 g) lub „Gwiazda południa“ ważąca 124 karaty.

W miarę zwiększania się ilości karatów zwiększa się oczywiście wartość pojedynczych djamentów. Cena ich podlegała w ciągu wieków częstym wahaniom. I tak, na początku XVIII w. kosztował jeden karat 500 koron, w 1780 roku zaś 400 koron, a 1795 roku tylko 140 koron. Później ceny djamentu wzrosły znacznie i doszły w 1868 roku do 540 koron za karat. Po odkryciu jednak pół djamentowych w Afryce cena spadła odrazu do 500 koron i dotąd utrzymuje się na tej samej wysokości. Ceny te odnoszą się oczywiście do kamieni szlifowanych. Zresztą zachodzą w nich olbrzymie różnice stosownie do wielkości i czystości kamieni. Brylanty wielkie są też stosunkowo daleko droższe.



NIGDY!!!

23)

Z. MORAWSKA.

POWIEŚĆ Z R. 1813.

Przedruk i tłumaczenie wzbronione

— Piękność? ma foi (doprawdy) nic nie wiem... tłumaczył się tak zawzięcie, jak gdyby ta niewiadomość czyniła mu rzeczywiście ujmę.

Wszystkie panie zaśmiały się chórem.

— Mais parole d'honneur! (Ależ słowo, honoru)

— Nie, to być nie może, ktoś plotkę przyniósł! — mówił dalej.

— Jak możesz tak mówić szambelanicu! przecież generałowa Mokronowska na własne oczy ją widziała! — zawoła jedna z dam obecnych.

— Ah, pardon! — rzekł, kłaniając się przed gospodynią.

— Może to złudzenie.

— Nie jestem szambelanicem i nie mam złudzeń! — przerwała generałowa, patrząc nań z ukosa.

— Jasne, nad wyraz jasne, lutowe słońce czyni wprost takie cuda, że nawet rzeczy i osoby zaledwie znośne przedstawia w aureoli piękna! — mówił, szambelanice, dobierając jak najkwiecistszych wyrazów.

— Dlaczegoż nie przypuszczasz, że słońce mogło tylko dodać tej piękności powabu, jak złocone ramy obrazowi — rzekła Mokronowska.

— Zapewne, zwłaszcza jeżeli takie oczy jak generałowej, rzuciły nań odblask! — zakończył, kłaniając się przed nachmurzoną damą.

Chciał tym grubym komplementem zakończyć na ten temat rozmowę.

Ambarasowało go to widocznie, że ktoś przed nim wiedzieć może o przybyłej piękności lub w ogóle o czymś, co się w mieście działo. Byłby się może nawet zarumienił, gdyby z pod grubej warstwy bielidla rumieniec mógł się wydobyć.

Damy jednak z nieubłaganem okrucieństwem, nie porozumiewając się nawet w braku innego przedmiotu poczęły:

— Najwidoczniej szambelanicu wzrok ci już nie dopisuje!

— I lotność umysłu cię zawodzi!

— Wkrótce całe miasto będzie się za-

bawiało upolowaną nowiną, a ty o niej dowiesz się ostatni.

— To, co będzie dla wszystkich zeszłoroczną modą, dla ciebie będzie najświeższą.

— Zwietrzałe wiadomości będą dla ciebie, la fable du jour (najświeższą wieścią) — mówiły jedna przez drugą, nie pozwalając przyjść do słowa obwinionemu.

Wprost bawiły się jego zaambarasowaniem.

Aż odezwała się wreszcie generałowa:

— Za karę musisz się dowiedzieć o jej nazwisku, no i w ogóle o najdrobniejszych szczegółach jej otoczenia.

— Jest to tylko dowód, że gwiazdy świecące na naszym firmamencie są tak jasne i tak pewne swojego blasku, iż nie boją się współzawodnictwa! — odrzekł z ukłonem.

W duszy zaś przyrzekł sobie.

— Żebym ją nawet z pod ziemi miał wydostać, dostanę i otoczę takim blaskiem i tyloma wielbicielami, że zżółkniecie z zazdrości!

Głośno zaś rzekł:

— Księżę Józef...

— Co, co księżę Józef? — przerwały naraz wszystkie damy.

— Księżę Józef przyjmuje dziś u siebie rodzinę jednego ze swych towarzyszków broni. Wycedził z pewną precyzją szambelanica.

— Któż to jest? — spytała jen: Mokronowska.

— Nazwisko, nazwisko? — pytały damy, wstrzymując oddech zaparty ciekawością.

— Cześnikostwo Wielniccy z córką i jakiś kapitan—wykrztusił nareszcie szambelanica, uszczęśliwiony, że zdołał zainteresować otoczenie.

— Kto, kto? — zapytała generałowa.

Szambelanica powtórzył.

Powtórzyła je i generałowa, przymykając oczy i zamyślając się nieco.

— Idjota! — szepnęła rzucając pogardliwe spojrzenie w stronę szambelanica.

STANISŁAW BEŁZA

NAD ŻŁOTYM ROGIEM

22)

Wyjątek do pewnego stopnia od tej reguły stanowi świątynia Bajazyda, i ta przecież wyjątkiem jest nie dlatego, że zwraca na siebie uwagę czemś takim, czemu podobnego nie widziało się w innych meczetach, ale dla tego, że plac, jaki rozpościera się we wnętrzu rozległych jej murów, budzi wrażenie podobne nieco do tych, jakich doznawało się kiedyś na łonie cywilizacji innej, na lazurach innych wód.

Przypomina wrażenia Wenecji.

Ten „Bajazyd“ jest starszym od „Sulejmanie“, zbudował go bowiem sułtan tego nazwiska, syn Mahometa zdobywcy, w końcu XV wieku, ale choć jest o kilkadziesiąt lat starszym, nie przedstawia takiego, jak ta ostatnia świątynia, interesu. Z zewnątrz wygląda — powiem nawet — skromnie, a choć wewnątrz jego zaciekawia, upiękzone jest bowiem bogato marmurami, jaspisem i ozdobami o perskim stylu, kiedy się próg jego przestąpi, widzi się nieledwie to samo, co tam, skąd się dopiero co tu przyszło.

I tylko jedno, co go wyróżnia i oryginalnym czyni, to... stada gołębi, unoszące się gromadnie nad nim, w cieniu jego murów schronienie znajdujących i przytułek.

Wchodzę na podwórze, przylegające do murów tej świątyni, i zdaje mi się, żem się znalazł niespodziewanie na placu św. Marka.

Na kamiennych schodkach siedzi w zawoju stary turek, za nim widać w cieniu, wilgoci pełnym, nędzny sklepik z wiktuałami, a gdzie okiem rzucę, na dole i na górze, w powietrzu i na ziemi, niezliczone mnóstwo gołębi z łaski tego turka, czerpiącego pełną ręką z tego sklepiku, żyjących wygodnie, bez troski o niepewne dla ich współbraci gdzieindziej jutro.

Gołębi tych jest tu wielkie mnóstwo, więcej niezawodnie, niż na placu u stóp Bazyliki św. Marka i Prokuracji, a o oswojeniu się ich z ludźmi ten nawet nie może mieć wyobrażenia, kto był z nimi w bliskiej i codziennej styczności na Lagunach. W harmonijnej, niezmaconej nigdy niczem zgodzie, snują tu się one pomiędzy ludźmi, siadają im na głowach, na ramionach, a jak gdyby im tej zażyłości z nimi było nie dosyć, bratają się nawet z psami, które co piątek ściągają tu ze wszystkich przedmieści Stambułu, by, korzystając z niewyczerpanego źródła tureckiego miłosierdzia, otrzymywać pożywienie.

Jak w Wenecji, tak i tu, do tych gołębi przyczepiła się legenda.

Razu jednego, syn zdobywcy Konstantynopola, idąc ulicą, zaczepiony został przez żebraka.

Obdarty i głodny, stał, trzymając w ręku parę gołębi, pod cieniem ustronnego muru, i żebrząc o jałmużnę, skarżył się, że od dni kilku nie miał nic w ustach.

Bajazyd obdarzył go hojnie, i otrzymawszy od nle-

go w zamian za pomoc mu udzieloną gołębie, złożył je w ofierze meczetowi.

Bóg przyjął chętnie ofiarę, rozmnożył je wielokrotnie i dziś z tej jednej pary unoszą się ich nad kopułami świątyni imienia miłosiernego sułtana, tyśiące..

Bajazyd nie był szczęśliwym i nie umarł padyaszchem.

Kiedy ojciec jego, Mahomet Zdobywca, zamykał znużone powieki, do tronu, osieroconego przez jego zgon, zgłosił się z pretensjami młodszy syn.

Rozpoczął więc panowanie od wojny, i pokonawszy niefortunnego pretendenta, już wojny krwawe prowadził aż do końca swoich rządów.

Gdzie on nie był, z kim nie wojował! Węgry i Serbja, Polska i Wenecja, kolejno zapoznawały się z hufcami srogich jego janczarów, a wszędzie, gdzie te hufce przeszły, pozostawały potoki krwi.

Z wojen tych nie wychodził zwycięzcą, na południu i na północy ponosił klęskę po klęsce, a jak gdyby na domiar nieszczęścia, za jego panowania, Konstantynopol zawiedziło straszne trzęsienie ziemi.

Podobnych katastrof historia nie wiele przytacza, rozpadło się wtedy bowiem w tem mieście w gruzy tysięcy domów i sto meczetów, zrównała się z ziemią część murów Seraju i pałacu Siedmiu Wież.

Kronikarze opowiadają, że ziemia trzęsła się przez półtora miesiąca, że nikt nad Żłotym Rogiem nie był pewnym jutra, a wystraszony Bajazyd wyniósł się ze swoich zamków, i zamieszkał w namiocie na otwartym polu,

Nareszcie złowróźbne żywioły powróciły pod ziemią do równowagi, spokój nastał, ale nie w duszy padyśzacha. I nie upłynęło lat trzech od tej nadprzyrodzonej klęski, a oddał chorągiew i miecz proroka do rąk innych. Syn jego, Selim, objął po nim dziedzictwo, on sam zaś poszedł na dobrowolne wygnanie, skąd do Konstantynopola powrócił dopiero trupem.

A przecież zasłużył na lepszą dolę. Był miłośnikiem, jak o tem legenda o żebraku z gołębiami świadczy, protegował nauki i sztuki. Za jego czasów dwór sułtański roił się od uczonych, a pałac cesarski brzmiał echem hymnów poetów, w których rzędzie i on sam niepoślednie zajmował miejsce. Ale u jego szyi (wedle przysłowia tureckiego), jak u szyi obecnego sułtana, „uczeplił się ptak nieszczęścia“ i jak żaden ze śmiertelnych, nie był w stanie odczepić się i on od tego ptaka.

Spoczywa więc w turbie tuż przy meczecie, który wystawił i ochrzcił swoim nazwiskiem, i przywodzi na myśl wspomnienie wielkich zawodów, goryczy i niepowodzeń.

Te turby sułtanów znajdują się przy każdym nie-

ledwie domu Bożym, zbudowanym w Konstantynopolu ich staraniem.

Podobne wszystkie, jak meczety, do siebie, wyróżniają się tylko większem lub mniejszem nagromadzeniem w ich wnętrzu architektonicznych ozdób.

Ale zresztą niczem innem.

Wszędzie na posadzce, wysłanej dywanami, jeden lub kilka jednakowego kształtu sarkofagów, każdy z nich pokryty bogatemi makatami, około każdego olbrzymie woskowe świece, przy każdym Turek szepczący głucho wiersze z koranu.

Po turbie więc Sulejmana właściwie nie ma po co do innych zachodzić, chyba do tej, gdzie spoczywa zdobywca Konstantynopola. I tu przecież nie widzi się nic innego nad to, z czem się już gdzieindziej za- brało znajomość, cała różnica leży w tem, że jest ta turba miejscem spoczynku człowieka, który gdyby nie był istniał, możeby w Konstantynopolu oko przybysza nie spotkało się z meczetami i turkami...

Kiedy wychodziłem z grobowca Bajazyda II-go, mój przewodnik opowiedział mi, że sułtan ten, prowadząc mnóstwo z chrześcijanami wojen, z każdej przynosił do domu na obuwiu i w ubraniu proch. Proch ten zbierał skrupulatnie przez całe życie, nie rozstawał się z nim nigdy, a kiedy umarł, polecił, aby mu takowy wysypano na głowę.

— W jakim celu, — zaciekawiony tą opowieścią — zapytałem?

— Aby (odpowiedział mi po angielsku, ze śmieszoną powagą) zabezpieczał jego duszę od ognia wiekuistego...

Spojrzałem mu bystro w oczy, ale nie doczytałem się w nich niczego...

Wierzył-li on, czy nie wierzył w to, co mówił, ten wielojęzyczny i beznarodowościowy człowiek, żegnający się w kościołach znakiem krzyża, a w meczetach odgrywający rolę gorliwego wyznawcy wiary proroka?

Zaznaczyliśmy wyżej, że w Stambule znajduje się pięćset meczetów, i że z tej liczby szesnaście tylko, ale najwspanialszych, zawdzięcza powstanie swoje sułtanom.

Mery, który, podczas pobytu swego nad Złotym Rogiem, czynił skrupulatne poszukiwania, dotyczące tych domów modlitwy, i to nietylko w Stambule, ale we wszystkich bliższych i dalszych przedmieściach, składających się na ten ogrom, noszący na mapach świata miano Konstantynopola, powiada, że w żadnym kraju na świecie, wielcy i mali nie łożyli tyle, co tam, na meczety i oświatę publiczną.

Oto szczegóły, jakie zapożyczamy od tego pisarza, gruntownego znawcy odnośnej kwestji w Turcji.

Odczytajmy je z uwagą, świadczą one wymownie bowiem o tem, co w tym kraju i w tem najprzedniejszym jego mieście, czciciele Ałłacha uczynili dla Jego chwały.

Przedewszystkiem obliczenia Mery'ego nie zgadzają się z obliczeniami innych pisarzy, co do meczetów w całym Konstantynopolu i Stambule.

Wedle tego autora, jest ich bez porównania więcej.

„Konstantynopol — powiada on — posiada 500 meczetów, ale przedmieścia i osady porozrzucane na brzegach Azji i Europy, 377; razem więc, znajduje się tam 877 Domów Bożych mahometańskich, prawie jednego i tego samego stylu, ale rozmaitych rozmiarów.“

Jeśli więc obliczenia autora tego są dokładne, a takimi zdają się być, to liczbę meczetów w samym Stambule wypadnie powiększyć i to znacznie. Ale choćby nie wszystkie z pomiędzy nich na miano meczetów zasługiwały, choćby ten autor podciągał pod ich miano wszystkie turby i drobne kapliczki, zawsze przecież jest ich tak wielka ilość, że podobnej nie przedstawia żadne miasto nigdzie.

Nic dziwnego, budował je tam każdy, kto tylko mógł, do tego kolosalnego gmachu petyzmu narodowego każdy znosił swoją cegiełkę.

Cytujemy Mery'ego:

— Pewien poeta, nazwiskiem Iszki-Efendi, zbudował meczet Monlaf-Iszki. Postawiwszy go, posłał Mahometowi II następujący czterowiersz, który przekładamy dosłownie:

„Dobry dzień mój szczęśliwy panie.

„Pij mleko, i jedz miód.

„Śmiem ci wróżyć, że ta uczta,

„Otworzy ci drogę do nieba.“

Mahomet II, dziki zdobywca Konstantynopola, znalazł te wiersze wspaniałemi, dał poecie 1,000 dukatów w złocie, a ten poświęcił je całkowicie na upiększenie swego meczetu. Nie znamy w krajach chrześcijańskich poety, któryby wybudował kościół o dwóch dzwonicach, po otrzymaniu od króla takiej kwoty za liche czterowiersz.

Czytamy w tym pisarzu, dalej.

Meczet Newbehar, wznosił Muhjeddin Ben Issa, piekarz Mahometa II.

Khalil, zwyczajny kupiec korzenny, wybudował dwa meczety: Jeni Bagdze i Arabdzilet. Powstrzymujemy się od wszelkich uwag, zaznaczamy przecież z naciskiem ten wspaniały akt pobożności, będący zaszczytem całej licznej klasy kupców wschodnich.

Meczet Debbagler zbudował bednarz, Elhadzi Ahmed Aga. Jest to meczet bednarzy.

Hussein aga, fabrykant namiotów za Mahometa II wystawił meczet Czadirbaszi, a Mohamed aga, szef kueharzy, meczet Aszdżibaszi. Dwie fortuny, zebrane w tych pospolitych profesjach, użyte zostały na budynki religijne. Meczet Altundzi wyczerpał bogactwa złotnika Szaban agi, swojego założyciela.

Muhgeddin, poświęcił cały dochód ze swojego handlu na meczet Kara-Iman. Był on księgarzem. Co za barbarzyński kraj!

Okdżij, fabrykant strzał, dźwignął meczet swego nazwiska. Po wynalezieniu prochu zajęcie to dawało jeszcze tyle dochodów, że dozwalało wznosić meczety o trzech minaretach.

d. c. n.



KAP. BRERETON.

Tajemniczy samolot

Przekł. z ang.
M. G.

10)

— No i wrócić do domu z ładunkiem ołowiu w ciebie jak łatwo przewidzieć! — powiedział, teraz już poważnie Jerzy. — Bo, że mają broń, to nie podlega wątpliwości. Jestem pewny, że chcą porwać chińczyka.

Ale jaki cel mogli mieć w tem ci ludzie? Byliż to szpiegowie, wysłańcy obcych mocarstw, czy poprostu zbrodniarze, żywiący wrogie zamiary względem Teodora Browna? W każdym razie celem ich był „Upiór“, ten cud-samolot, niewidzianej dotąd doskonałości, a według wszelkiego prawdopodobieństwa, wynalazek i własność angiika.

Uporczywe śledzenie chińczyka, wydawało się chłopcom bardzo podejrzane, a posądzenia ich wzmacniał jeszcze fakt, że ścigający byli cudzoziemcami.

— Idą — szepnął Jerzy. — Inspektor miał słuszość; ci sami co wtedy...

Szli, nie ukrywając się wcale, paląc i rozmawiając z ożywieniem w obcym języku.

— Cóż ty na to, Ted? — zagadnął Jerzy.

— To łotry, których potrzeba się wystrzegać. Nie cofną się oni przed niczem, gotowi strzelać bez wahania i uciec do Londynu. A jutro gdyby policja szukała sprawców zbrodni, skryją się w pierwszorzędnym holelu dla zmylenia śladów... Musimy być ostrożni.

Trójka nieznajomych niepiękną wyglądała. W podartem odzieniu, z węzłkami zarzuconymi na plecy, w dziurawym obuwiu, nie budziła ufności. Ale bystre oczy chłopców poznały ich mimo przebrania, gdy idąc żwawo mijali jałowcowe zarośla. Przeszli, znikli i ukazywali się wkrótce na grzbiecie pagórka, w pełnym świetle księżyca.

— Wolę mieć ich przed sobą, niż za sobą — wygłosił sentencjonalnie Jerzy. — Może pójdziemy za nimi, co?

— Rozumie się! — zawołał Harvey. — Zobaczymy poco tam idą... Czuję, że dziś spotka nas coś ważnego. Chodźmy! Chciałbym wiedzieć co porabia pan Teodor i co powie jeśli się z nim spotkamy? A może zaprosi nas na „Upióra“?

Ta myśl kręciła się wciąż uporczywie po głowie kanadyjczyka, gdy z towarzyszami szedł żwawo na wzgórze, z którego szczytu ujrzeni zabudowania fabryczne i włóczęgów zdążających w tamtą stronę. Chłopcy szli za nimi w znacznej odległości, strzegąc się by ich nie spostrzeżono, lecz nie tracąc z oczu podejrzanych figur. Doszedłszy na dwieście kroków od „Wawrzynów“ skrzyli w zarośla i skosem skierowali się do muru otaczającego fabrykę.

— Będziemy pierwsi na miejscu — objaśnił Jerzy, idący na czele. — Przycupnijmy na ziemi i pilnujmy skąd wiatr wieje...

Tymczasem nieznajomi doszli także do muru i zabrali się do roboty, której plan mieli widocznie przygotowany. Zrzucili dźwigane węzłki na ziemię i wydobyli z jednego półkwartowy dzbanek, z drugiego pęk

sznurów: sznurową drabinę jak się okazało, gdy ją brodacze umieścił na szczycie ogrodzenia. Trzeci włóczęgę wyjął z szarego zawiniątka ślepą latarkę, i po krótkiej naradzie, wszyscy trzej, jeden za drugim wspięli się na mur po drabinie, a doszedłszy po szczycie na najdalszy koniec ogrodzenia, zawiesili drugą drabinę, po której spuścili się na dziedziniec fabryki.

Zanim zdumieni chłopcy zdążyli zauważyć co się stało, nieznajomi znikli bez śladu poza murem.

Pierwszy oprzytomniał Harvey.

— Chodźmy za nimi tą samą drogą — powiedział spokojnie. — Ja pierwszy pójdę. Wy róbcie jak chcecie.

Wziął w usta kij i wspiął się w mgnieniu oka po bujającej drabinie. Ted podążył za nim a za Tedem, Jerzy. We dwie minuty byli już po drugiej stronie, na dziedzińcu fabrycznym.

Ciemność panowała tam tak głęboka, że gdyby nie błysnięcie latarni, niesionej przez nieznajomych, chłopcy nie wiedzieliby w którą stronę się skierować. Lecz z pomocą tej przelotnej błyskawicy okrążyli wielki gmach z kominem i wyszli na wąską uliczkę między nim a sąsiednim budynkiem.

— Warsztaty gdzie stoją maszyny — objaśnił Jerzy, gdy się zatrzymali. — Znowu błysk latarni? Co u licha! Co oni myślą robić.

Chłopcy zaczajeni w cieniu, mogli widzieć nieznajomych dzięki światłu księżyca. Patrzyli więc jak otwierają jedne drzwi po drugich tak prędko i z taką łatwością, że chyba musieli mieć podrobione klucze. Nie rozłączali się ani na chwilę, lecz razem szli od drzwi do drzwi, otwierali i wchodzili. Błyskało wtedy światło, potem zapadała ciemność i trójka ukazywała się we drzwiach, zostawiała je otwarte i dążyła śpiesznie do drugich.

Dopiero po otwarciu dziesiątych z rzędu drzwi, chłopcy zaczęli się dorozumiewać, do czego zmierzają ta robota.

Nieznajomi, wyszedłszy na dziedziniec, naradzali się przez jedno mgnienie oka, a potem poraz pierwszy rozeszli się. Każdy dał nurka w inne drzwi. I znowu zajaśniały błyskawice, po których zapadała jeszcze głębsza ciemność... Nieznajomi wyskakiwali z pośpiechem z wnętrza i wskakiwali do sąsiedniego budynku, gdzie się powtarzało to samo zjawisko.

Gdy złoczyńcy, opuściwszy ostatnie drzwi, zamknęli je starannie za sobą, Jerzy krzyknął, wskazując na jeden budynek.

— Widzicie? W oknach jasno... Pożar! Te łotry podłożyli ogień!

— Co czynić? — zawołał Harvey.

— Zrobić alarm! — krzyknął bez wahania Ted. — Bierz gwizdawkę Jerzy. Ogień! Gore!

Krzyczał na całe gardło, a Jerzy gwizdał przeraźliwie, budząc echa w opustoszonej fabryce.

„Amerykanka“ ⁴⁾

OBRAZEK SCENICZNY.

ANULKA. O, przepraszam! Wszystkie „ideały“ są dla mnie „ideałami“ i częściej je narówni ze swoimi. Tylko, praktycznie, uważam niektóre z nich za przedwczesne dla naszego społeczeństwa, a bodaj, że dla całej ludzkości. *(z przejęciem)* Teoretycznie jednak chylę przed nimi czoło! Są przepiękne! szczytne! i jako takie, niech będą! niech przyświecają ludzkości w jej krwawej wędrówce ku czystemu dobru, prawdzie i wszechmiłości! Lecz nie zwalajmyż odrazu tego ogromu niebosiężnych umiowań i bezwzględnej sprawiedliwości na wątłe barki obecnych społeczeństw, bo się ugną! i ów błogosławiony, upragniony kres może na długie, długie wieki od siebie odsunąć!

STEFA. Skądże wiesz... *(urywa gdyż z za portjery)*

KRYSTA *(woła cicho, przeciągłe)*. Ste—e—fo!

STEFA i ANULKA *(zwracają się raptownie ku drzwiom, zdumione, chwilę nadśledzują)*.

STEFA *(półgłosem)*. Co to? *(robi krok w stronę drzwi i woła głośno)*. Kto tam?

SCENA IV.

Anulka — Stefa — Krysta.

Krysta w ładnym lecz skromnym kostjumie wiosennym, lekka torebka w ręce.

KRYSTA *(odchyła portjerę, w drzwiach robi głęhoki, dworski ukłon i mówi wesole)*. To tylko ja, Krysta Odrzywolska, do usług szanownych pań.

STEFA i ANULKA *(zdumione)*. Krysta!?

KRYSTA *(śmiejąc się)*. No tak, tak, Krysta, we własnej, nieciekawej osobie *(podchodzi do Stefy i całuje ją serdecznie)*.

STEFA *(zachowuje się biernie, zdumiona nagle zjawieniem się Krysty, a jeszcze więcej jej normalnym wyglądem)*.

KRYSTA *(podchodzi do Anulki i podaje jej rękę)*. Wszak panna Anna Zdrojowska?

ANULKA. Tak, pani.

KRYSTA *(spogląda na Stefę, zbliża się znów do niej i mówi ze śmiechem)*. No, już! Ocknij się nareszcie moja europejska kuzyneczko! *(całuje ją powtórnie)*.

STEFA *(nie może przyjść do siebie)*. Pa... pani... ty... tutaj? a, a rodzice?

KRYSTA *(zdejmuje kapelusz, płaszc, rękawiczki; mówi żywo z widocznym podnieceniem)*. Niestety, zapewne na Wspólnej u dziadka! Ach, jak srodcie jestem zgębiona nieobecnością cioci! Nie przypuszczałam, aby zmiana mojej marszruty wywołała takie powikłania.

ANULKA. Stryjostwo nie wiedzą, że pani jest tutaj?

KRYSTA. Nie wiedzą, miss Anno, nic jeszcze nie wiedzą! Szpetnie postąpiłam! prawda? A wyobrażcie sobie, że chciałam wam zrobić zupełnie sympatyczną, europejską niespodziankę! Ach te moje paroksyzmy!

ANULKA. Jakie paroksyzmy? *(siadając)*.

KRYSTA. Egoistyczno-sentymentalne, czy sentymentalno-egoistyczne, jak wolisz, my dear; na ogół dość rzadkie i niezbyt niebezpieczne. Niepokoją one jednak dość poważnie mego ojca, amerykańskiego polaka, a zachwycają natomiast mego brata, firmowopolskiego amerykańczyka.

ANULKA *(śmiejąc się)*. Ależ to istna łamigłówka.

KRYSTA. A jednak jasna, jak przysłowiowe jajo odkrywcę naszego świata — Kolumba. Bo posłuchajcie: Ojciec mój, zamerykanizowany słowianin, obawia się, abym w przystępie sentymentalnego paroksyzmu, nie zrobiła jakiego kapitalnego głupstwa. Dich zaś, który od czubka swej płowej czupryny, aż do lakierowanych nosków swego obuwia, dzięki czystej krwi amerykańskiej swej matki, o ile, w zasadzie, może być mowa o „czystej“ krwi Nowego Świata, czyli, innymi słowy, typowy yankes-bussinessman, utrzymuje, że zawdzięczając „paroksyzmom“, jestem najsympatyczniejszą siostrą ze wszystkich sióstr obydwu Ameryk, zachwycającą, to Dick tak mówi, „nad-kobietą“, nie amerykańską! *(do Anulki)* Rozumiesz my dear?

ANULKA *(śmiejąc się)*. Troszeczkę,

STEFA *(zachmurzona, badawczo wpatruje się w Krystę)*.

KRYSTA *(jak wyżej)*. Nie myślcie jednak, że Dick w ten sposób uczcił moją gadatliwość. O, o, nie! Normalnie bowiem nie tak hojnie szafuję słowami, lecz wielomówność *(wolniej z uśmiechem)* to jeden z objawów moich paroksyzmów *(jeszcze wolniej, wahająco z przerwami)*. A, a, obecny atak... niestety, o wiele jest silniejszy od wszystkich poprzednich... Tak, tak... silniejszy, bo... byłam w Krakowie... dużo widziałam... jeszcze więcej przeżyłam... a, a teraz ta ziemia świeżo zorana, tak pachnie, odradza... *(coraz ciszej)* taka inna niż tamta... taka swoja... *(podnosi się raptownie, podchodzi do okna i patrząc w nie, znów mówi ze śmiechem)*. Ach co za śmieszny „baby“! A ta maleńka! jak zabawnie gramoli mu się na plecy? O, o, o! upadnie! Nie, nie! dźwignął się! Zuch malec!

ANULKA i STEFA *(podczas ostatnich słów Krysty zbliżają się do okna)*.

STEFA. To dzieci naszego ogrodnika.

KRYSTA. Ach, spłoszyliście je! uciekają! szkoda!

ANULKA *(lekko obejmuje Krystę i serdecznie mówi)*. Dobra, droga, kochana Krysto!

KRYSTA. Oj, jej, jej! czy nie za dużo tych przymiotników! *(bierze Stefę i Anulkę za rękę i chwilę im się przypatruje)*. Jakie wy jesteście inne, niż my tam! jakie inne! ale przemiłe! Czy pani jest już zaręczoną, p. Anulko?

ANULKA *(żdziwiona)*. Nie.

KRYSTA. No, to doskonale! Po kampanji cukrowej sprowadzam Dicka.

ANULKA *(śmiejąc się)*. Ależ panno Krysto?

Gniazda sieroce.



„GNIAZDO“
W KOZIARÓWCE.

Powstało przed rokiem bardzo pożyteczne stowarzyszenie „gniazd sierocych“, które postawiło sobie za zadanie zaopiekowanie się bezdomnymi sierotami. W tym celu towarzystwo urządza wzorowe gospodarstwa rolne pod kierunkiem rozumnych i uczciwych ludzi, którym powierza wychowanie 12 — 15 sierot, chłopców i dziewcząt. Opiekunowie noszą nazwę „rodziców gniazda“ i wychowują sieroty do osiemnastego roku życia, poczem powinny już one same zapracować na swe utrzymanie.

Dzieci w „gniazdach“ muszą również pracować w miarę sił swych, by nie przyzwyczajały się do próżniaczego zjadania cudzego chleba, które zaś z dzieci okazuje większe zdolności, to jest oddawane do szkół, a nawet wysyłane zagranicę na naukę. Tym sposo-

bem bezdomne sieroty, które mogły być narażone na pokusy, wychowują się na uczciwych pracowników.

Dotychczas towarzystwo założyło dopiero pięć „gniazd“ w których znalazło przytułek kilkudziesięcioro dzieci; więcej „gniazd“ na razie nie sposób otworzyć, gdyż towarzystwo nie posiada odpowiednich środków pieniężnych, jest jednak nadzieja, że ludzie dobrej woli w dalszym ciągu będą popierali usiłowania towarzystwa. W dzisiejszym numerze podajemy kilka ilustracji z życia „gniazd“: widok domu w Puczytach, „gniazdo“ w Koziarówe, fotografię mieszkańców Sochaczewskiego „gniazda“ i zdjęcie z uroczystości otwarcia sklepu spółkowego przy „gnieździe w Turku.

W następnym numerze podamy szczegółowy opis życia dzieci w „gnieździe“



Sochaczewskie Gniazdo Sieroce im. „Wandy“. Rodzice Gniazda Ratajczykowie.

PRZEBOJEM.

OBRAZEK Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

OPOWIEDZIAŁ

JÓZEF CIEMBRONIEWICZ 9)

A gromada małych psotników zbliżała się coraz bardziej do Jaśka, wcale nie dwuznacznie zdradzając chęć podskubania nowicjusza.

Ale w tej przykrej dla Jaśka chwili wysunął się z ostatniej ławy wyższy jeszcze od niego chłopak, odtrącił kilku najbliższych stojących i ujął go za rękę:

— Chodź, siadaj tam za mną!

Jasiek posłuchał, a gdy już książki schował i niezaczepiany więcej przez nikogo ulokował się w ostatniej ławie, nowy towarzysz zapytał.

— Skąd ty?

— Z Zawadki!

— Ja z Siedlec!

— Ja z Chomranic! — wtrącił się do rozmowy trzeci kolega.

— O tu widzisz w przedostatniej i w ostatniej ławie to my sami chłopci, a tam panicze. Gdzie mieszkasz?

— Na Olimpie!

— A ja na Psiej u starego Banka!

— A nazywasz się?

— Barański!

— Ja Madej!

— A ja Guzak!

I znajomość zawarta i to znajomość nie taka jakaś dorywcza, ale znajomość na życie całe, bo nic tak ludzi do siebie nie zbliża, nie łączy jak szkolna ława.

Dzwonek uciszył rozwrzeszczonych chłopaków.

Do klasy wszedł profesor.

Siwy był, długi surdut obwijał mu się po nogach, stąpał niepewnie próbując przed sobą laską.

Doszedł do katedry wydobył dziennik, umaczał pióro i nachyliwszy się tak, że nosem prawie wodził po papierze pisał.

— Ślepy jest! — szepnął Madej.

— To Ryński?

— Tak! Będzie uczył łaciny!

Ryński rzeczywiście był ślepy.

Ciężka katarakta przysłoniła oczy jego czarnym całunem i Ryński cokolwiek tylko widział bokiem.

Obarczony rodziną nie chciał iść biedaczysko na pensję, krył się ze swem kalectwem, a chociaż wszyscy wiedzieli, że nie widzi litowano się nad nim i znoszono biedaka, aby mógł wysłużyć swoje lata i dostać emeryturę.

Godzin dawano mu niewiele i zwykle posyłano go do klas niższych, licząc na to, że tam przy swem kalectwie prędzej da sobie radę.

Biedny kaleka zwykle jednak nie zyskiwał współczucia. Lekkomyślni chłopcy dokuczali mu niejednokrotnie, a wieści o różnych psich figlach wyrządza-

nych profesorowi krążyły po całym gimnazjum. Wyplatanie figla profesorowi uważano za honor.

Ryński zapisawszy w dzienniku, zeszedł ostrożnie ze stopnia i począł się powoli posuwać pomiędzy ławki.

Zaledwie profesor uszedł kilka kroków szmer jakiś powstał w pierwszej ławce, dał się słyszeć cichy chichot i nagle rozległo się do złudzenia naśladowane szczekanie małego psiaka. Profesor krzyknął i odskooczył w bok.

Janek stanął w ławce i oto co zobaczył.

Ów rudy, piegowaty chłopak sunął na czworakach za profesorem naśladowując psiaka. Widocznie raz już chwycił profesora palcami za łydkę, a obecnie gotował się uszczypnąć go drugi raz.

Barański nie namyślał się. Wyskoczył z ławki, pochwycił urwisza za kark i postawił go na nogi. Profesor posłyszawszy szamotanie się jakieś, natknął ręką na Janka.

— Jak ty się nazywasz? Co wy tu robicie?

— Nazywam się Barański!

— A ja Kaznikiewicz. Jestem synem dyrektora. Barański udawał psa i straszył pana psora, a ja wypadłem z ławki, bo nie chciałem skarżyć i pochwyciłem go i mówiłem mu, żeby więcej tego nie robił, a on mnie uderzył!

Bezczelne kłamstwo przebiegłego chłopaka oszłomiło na razie wszystkich. Wszyscy widzieli jak i co się stało, ale jak gdyby im dech zaparło milczeli.

Ciszę przerwał profesor.

— Dziękuję ci Kaznikiewicz. Dobrem jesteś dzieckiem! A ty jak! co? jak się nazywasz?

— Barański. Ale ja proszę pana...

— Co? Barański? I jeszcze byś się może kłócił? Hm... Barański! Ładnie zaczynasz. Dopieroś wszedł do szkoły i już! O kochaneczku, my tu takich nie potrzebujemy. Już ja postaram się, abyś sobie wrócił skądś przyszedł!

W tej chwili podniósł się w ostatniej ławie Madej i huknął!

— Kaznikiewicz łże! Barański nie winien! Niech klasa poświadczy!

Chłopcy oprzytomieli już, a chociaż malcy bywają czasem złośliwi, serduszka mają dobre i podłość każda ich oburza.

— Kaznikiewicz łże!

— Łajdak!

— Barański nie winien! — zahuczało zewsząd i wszczął się piekielny hałas. Każdy krzyczał, oburzenie dodawało siły głosikom. Daremnie profesor starał się uciszyć rozruchaną klasę. Głos jego niknął w ogólnym hałasie i kto wie na czym by się była ta cała awantura skończyła, gorliwsi bowiem wyrwali się już z ławek, aby na miejscu zuchwalca ukarać, gdy nagle drzwi się otwarły i wszedł dyrektor.

W jednej chwili cisza zapanowała.

Bystrem okiem spojrzał dyrektor po klasie i zwrócił się do profesora:



Ważną wam rzecz mam dziś do zakomunikowania sądzę, że dla was niemniej niż dla mnie będzie ona przyjemną.

Oto ludzie dobrej woli i serca zakładają, tak zwane „Ligi Dobroci,” mające na celu urabianie charakterów, dla polepszenia warunków współzycia, a to w sposób bardzo prosty. Wzywają one wychowawców i działwę do wspólnej pracy, która ludzkość wprowadza na tory postępu moralnego. Nakłania się w tem młodzież i dzieci, aby jeśli chcą być członkami „Ligi Dobroci,” uważali pilnie, czy nie zdarzy się im sposobność wyświadczenia jakiejś usługi, bądź grzeczności, zrobienia drobnej, osobistej ofiary na korzyść czyjąkolwiek; tłumaczy się im potrzebę dobroci w życiu. Następnie, raz na tydzień, każde dziecko dostaje arkusiki papieru, na których powinno zanotować, co też dobrego uczyniło w ciągu każdego dnia? Te arkusiki, naturalnie, bez podpisu, wrzucane są do przygotowanego pudełka, i nauczyciel lub nauczycielka zabierają je, klasyfikują i przepisują w specjalny zeszyt. Na następny tydzień nauczyciel odczytuje zebrane fakty i dodaje do nich odpowiednie objaśnienia.

Rozpowszechniane „Ligi Dobroci” między młodzieżą jest niesłychanie pożądane, gdyż idzie tu o wykorzenianie wad, które jak brud i pleśń, osiadają na dziecięcej duszy i nie pozwalają rozwijać się zaletom, które przy odpowiednim postępowaniu mogą wydać wspańnięte plony.

Obecnie takie „Ligi Dobroci i Uprzejmości” istnieją w Ameryce, Szwajcarii, Rzymie, Londynie i Paryżu i należy pragnąć, aby rozszerzały się coraz bardziej i znalazły echo wśród naszej młodzieży. Nie wątpię, że ty, młodzieży nasza polska jesteś nieskończenie dobrą i uprzejmą z natury, ale tę naturę trzeba doskonalić przez stosowanie metod pomocniczych, zwłaszcza, że należenie do takiej Ligi nie przedstawia żadnych trudności, gdyż nie wymaga ona żadnych pieniężnych składek i tworzyć Ligę może każde choćby małe, bo z kilku osób składające się kółko młodzieży, które się między sobą zobowiąże postępować w myśl chrześcijańskiej zasady miłości bliźniego i słodkiej, naturalnej uprzejmości względem każdego, bez różnicy płci, wieku i stanu.

Widzisz więc *Żywio*, że masz przed sobą pole działalności; załóż oto między swymi znajomymi taką Ligę, kontroluj jej działalność, zaczynając naturalnie, od najsurowszej kontroli własnych postępów, a i życie i ludzie przedstawia ci się w nierównie piękniejszym świetle, niż ty to widzisz.

Drogą uboczną dowiedziałam się, że niechęć swą do ręcznych robót posuwasz do tego stopnia, że pończoszki twe i bielizna stale po naprawę wędrują do rąk osoby bardzo zapracowanej, i nieposiadającej w dodatku twego, bystrego wzroku. Otóż radzę ci mniej czasu zużywać na niezbyt udatne (jak sama się wyrażasz) malowidła, z których znajomi po cichu się śmieją, a zając się robotami, które każdej kobiecie, na każdym stanowisku niezbędnie są potrzebne. Pamiętaj, że „dłużej starego, niż nowego,” cerowania powinna się dziewczynka uczyć jednocześnie z czytaniem, aby to „naprawiane” jaknajdłużej służyć mogło.

Wiem, droga *Żywio*, iż nie obrazisz się na „Przyjaciółkę,” gdyż ton twego listu otwarty, serdeczny

i skruszony, upoważnia mię do tych uwag, o które zresztą prosisz. Wierz mi, *Żywio*, że bardzo cenię cię za to, bo widzę, że naprawdę nie chcesz być lalką, lecz rozumą, dobrą kobietą. Celu swego dopniesz z pewnością, tylko pracy i uwagi nad sobą!

Skowronek Podolski lubi ptaki, a poluje na nie? Jakże to pogodzić jedno z drugim? Oj, za tego, biednego dzięcioła zasługujesz na wielką naganę i nie prędeż pozbędę się żalu do Skowronka, póki się nie dowiem, że szczury wytępione, ale ptaszęta cieszą się opieką swego krewniaka. Fryderyk Pruski był co do wróbla tegoż zdania, co i ty, nakazał więc tępić niewinne te ptaszyny, i cóż się okazało?

Oto tak się rozmnożyły liszki, żuki i wszelkiego rodzaju robactwo, że w ziemi niemieckiej powstał głód i tenże sam król za sprowadzenie każdego wróbla naznaczył nagrodę.

Uczeni przekonali się, że wróbel, choć niszczy ziarno, bo sam głównie ziarnem się żywi, piskłeta swoje karmi długi czas tylko liszkami owadów i przez to tyle tych szkodników wytępią, że należy mu wybaczać zjadanie zboża. Jest to jeden z najpożyteczniejszych ptaków. Skoro wyzdrowiejesz, zdobądź się na list obszerny, napisany atramentem — dobrze? Tymczasem zasylam ci uścisk i życzenia zdrowia.

Pragniesz *Młodości*, abym cię popierała radami, bo chcesz wyrosnąć na kobietę-Polkę, chętnie to czynię, tembardziej, że w tym właśnie celu prowadzę z wami korespondencję.

Widzisz, dziewczeczko, same słowa i uczucia, choćby najpiękniejsze niewielką mają wartość, jeśli nie są poparte czynami. Przyspieszyć szczęście ogólne możemy łatwo, przyczyniając się do dobrego wychowywania dzieci; gdyż dzieci stanowią fundament i przyszłość narodu: a tak wiele tej dziatwy wałęsa się, lub wychowuje źle! Staraj się wspierać uczelnie i ochronki polskie, pomagać kształcącej się młodzieży naszej, wyrwać nędzy i złu opuszczone sieroty. Oto szczytne zadanie szlachetnego człowieka!

Przykład światobliwego męża Baudouin'a, założyciela szpitala Dzieciątka Jezus niech ci świeci, jak przewodnia gwiazda życia.

Masz rację, że gdybym mogła, wołałabym do was wszystkich bardzo głośno i gorąco... ale nie mogę...

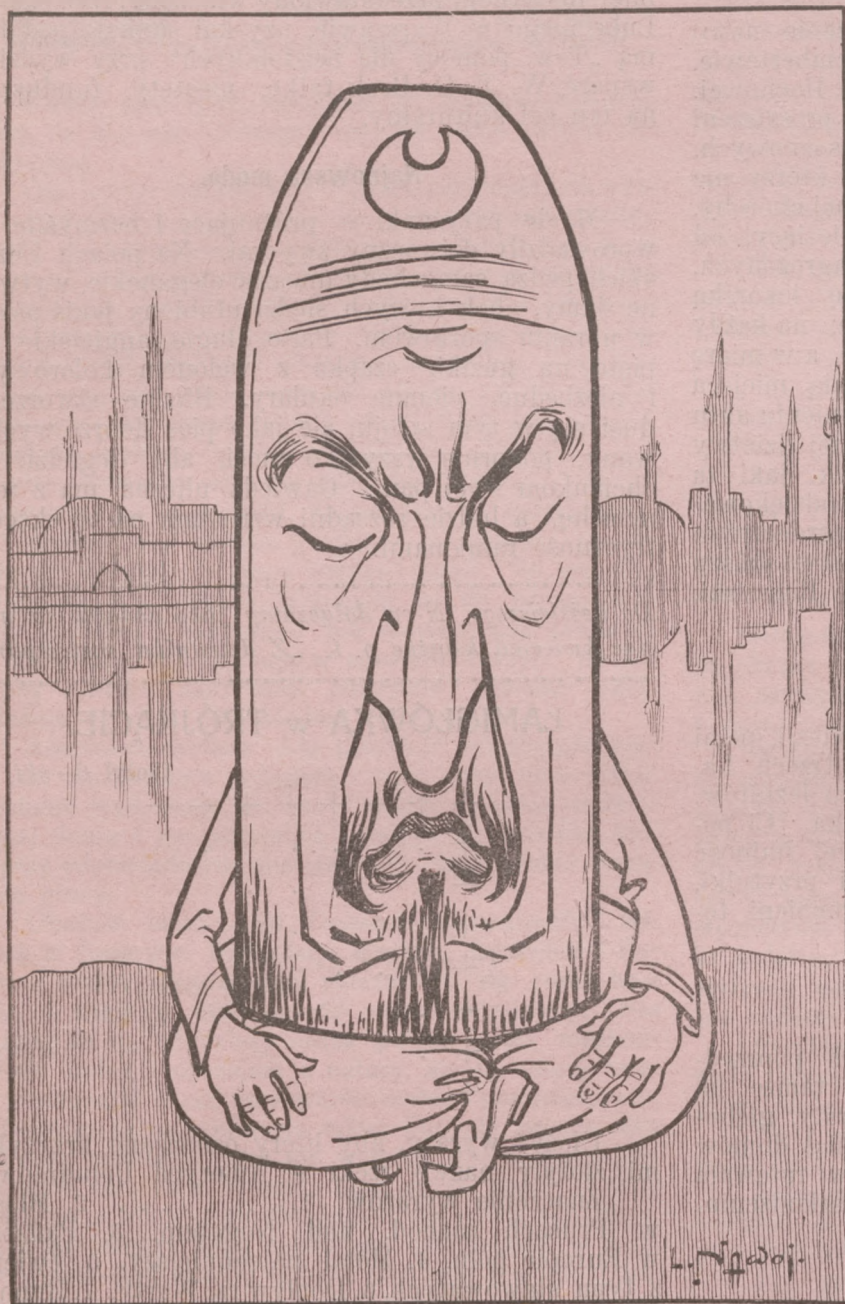
Załączając tobie i Śniegułi serdeczne ucałowanie, czekam od niej listu. Za pamięć o kochanej Jaskółce i Halince dziękuję.

Od *M...* otrzymałam ofiarę w postaci 13 marek 10 kopiejkowych, ale redakcja z markami ma ambarras, lepiej przekazem pocztowym. Masz słusność, że sprawa ochronki bardzo słabo porusza się naprzód, ale cierpliwości „Nie odrazu Kraków zbudowany” nie odrazu i ochronka nasza stanie, chybaby znalazł się jakiś filantrop i udzielił poważnego jednorazowego zasiłku, pozwalającego na wynajęcie lokalu i urządzenia go, a choć się i nie znajdzie, czytelnicy sami dokonają zaczętego dzieła. Proszę, napisz mi o sobie coś więcej, bardzobym rada zawrzeć z tobą, choć piśmienne znajomość.

Drapieżny Wilk! cóż za pseudonim! brrr! a w dodatku wcale niestosowny, bo kto staje w obronie słabszych i naraża się dla miłości pokrzywdzonego kolegi na docinki i złośliwe psoty innych kolegów, ten przecież nigdy nie może być drapieżnikiem. Zdziwisz się zapewne, pocztowy chłopczko, skąd „Przyjaciółka” wie o takich rzeczach, o których nawet w domu rodzicom nie opowiadasz, nie chcąc się chwalić, a innych oskarżać — a no, wiem, i dość!

Przyjaciółka.

Wacław Dmitruk.



Po zawarciu pokoju.

Turek. — Oto moja ostatnia „mina“ dardanelska, która już tak prędko na nikogo nie wybuchnie. („Mucha“).

SŁUSZNE WYMAGANIE.

Oficer policyjny mówi do podwładnego z zakręconymi do góry wąsami.

— Słuchaj, Schnidler, powiedziałem raz na zawsze, iż nie wolno, będąc na służbie, nosić zarostu. Uszłoby to jeszcze w dzień urlopu albo zresztą w święto jakiegoś wyjątkowe, tego nie zabraniam, tylko na posterunku przynigdy! Rozumiesz?

— Według rozkazu! panie oficerze.

WŁAŚCIWY KIERUNEK.

Nad drzewami wielkiego parku unosi się jeden za drugim, kilka areoplanów. Zauważyło to dwóch wiejskich chłopaków.

— Powiedz mi, mój drogi, z kąd się wziął naraz taki sznur latających, jak ptactwo, straszyle?

— A cóż to, nowina dla ciebie, że ptaki z lasu przyfruwają.

ROZMOWA.

— Hallo! Czy dyrekcja kasy oszczędności?

— Tak jest.

— Czy mogę prosić do telefonu pana dyrektora.

— Bardzo mi przyjemnie... Panie dyrektorze, a która godzina?

— Co to za kpiny, mój panie?

— To nie żadne kpiny!... Mój zegarek jest u was od wczoraj, to gdzie i u kogo mam się spytać o godzinę.

Ważne dla Młodzieży!

Na fortepianie,
skrzypcach,
cytrze, gitarze
i mandolinie,
uczę gruntownie i tanio.
Złota 26, m. 39.

PIERWSZA WARSZAWSKA FABRYKA

NIETŁUKĄCYCH SIĘ LALEK

JANA WODNIAKOWSKIEGO

w Warszawie, Leszno 100

POLECA WYROBY WŁASNE:

LALKI najpraktyczniejsze skórzane i płócienne.

LALKI ubrane w wielkim wyborze.

LALKI w narodowych kostjumach.

NOWOŚĆ!! KONFEKCJA DLA LALEK W WIELKIM WYBORZE

Części zapasowe oraz farba, guma do reperacji.

LALKI z nietłukącymi się, pięknymi głowkami.

LALKI z peruczkami, z prawdziwych włosów, z imitacji lnu.

CENY FABRYCZNE

TANIO

Uwaga! Kantor i sprzedaż detaliczna p. t. „RAJ DZIECIĘCY” Chmielna 26, telefon 217-46.

